

28 lipca mija 25 lat od śmierci Zbigniewa Herberta. O tym, czego dowiedzieliśmy się w tym czasie o życiu poety, rozmawiamy z Joanną Siedlecką, autorką jego biografii „Pan od poezji”

Anna Piątkowska

ZBIGNIEW HERBERT. ŚWIĘTY POLSKIEJ POEZJI?

Dwa wydania pani biografii Zbigniewa Herberta „Pan od poezji” dzieli 16 lat. Druga edycja została nie tylko zaktualizowana, ale też poszerzona o nieopisane wcześniej wątki. Czego dotyczyły?

Do wydania, które ukazało się w 2018 roku, dodałam sześć nowych rozdziałów, czyli całkiem sporo nowych informacji. Przede wszystkim znalazły się tu rozdziały poświęcone Katarzynie Herbert, najpierw piszę o jej roli jako żony, a potem wdowy. Kolejny rozdział dotyczy okresu stalinowskiego, ponieważ opublikowana przez jego siostrę - dotychczas nieznana - rodzinną, rzuca nowe światło na pomoc, jakiej udzielali Herbertowi rodzice. Niekiedy szalenie skromną, ale jednak znaczącą. Jest też rozmowa z prof. Jackiem Trznadlem o jego słynnym wywiadzie do tomu „Hańba domowa” o postawie polskich intelektualistów w czasach stalinowskich, który rozpoczął to negatywne postrzeganie Herberta, odwrócenie się od niego środowiska, które poczuło się urażone. Powstał także ważny rozdział, którego w pierwszym wydaniu być nie mogło, ponieważ dopiero później otwarte zostały archiwa IPN. Przeczytałam pokaźne teckki o tym, jak inwigilowano Herberta właściwie do końca jego życia. Jest też nowy rozdział poświęcony domowi, a właściwie bezdomności Herberta. Po Październiku dostał on wprawdzie malusieńką kawalerkę, ale kiedy się ożenił, to była zdecydowanie za mała przestrzeń do życia. Z kolei wymarzone, piękne mieszkanie przy ul. Promenady okazało się pułapką naszpikowaną podsłuchami, z sąsiadem, który najprawdopodobniej na niego donosił. Czy był nim, jak podejrzewał Herbert, Marek Piwowski, zarejestrowany jako TW „Krost”?

Czy dziś - po tym poszerzonym wydaniu, a także obszer-

nej biografii autorstwa Andrzeja Franaszka - o Herbertie wiemy już wszystko?

Wydaje mi się, że nigdy nie można powiedzieć, że proces poznawania czyjegoś życia, opisywania go jest zamknięty. Pojawiają się nowe listy, dokumenty, archiwalia, które rzucają inną perspektywę. Poza tym kolejne pokolenia biograficzne o Mickiewiczu czy Szekspirze, ponieważ otwierają się niedostępne dotąd archiwa, pojawiają się nowe dokumenty, relacje. Poza tym kolejne pokolenia widzą też różne kwestie inaczej, co też jest pretekstem do opisywania, zdawałoby się, znanych już i opisanych postaci. W przypadku Herberta, z jednej strony coraz mniej jest świadków jego życia, z drugiej wciąż są niewątpliwie materiały nieznane, do których dostępu broni wdowa oraz krąg zajmujący się nim zawodowo. Kiedy te przeszkody zostaną pokonane, z pewnością pojawią się nowe opracowania dotyczące choćby małżeństwa Herberta. Zachowało się mnóstwo listów, do których dostępem wdowa wyróżniła jedynie Andrzeja Franaszka. Wykorzystał je w minimalnym stopniu, ponieważ, jak wiadomo, wdowa decydowała o kształcie biografii, czego sam nie ukrywał, dziękując jej wstępnie we wstępie. A może on sam zrobi nam niespodziankę i napisze więcej? Są też np. archiwa noblowskie, odtajniane po 50 latach. Po ich otwarciu może dowiemy się choć trochę, co przekreśliło jego szanse na Nobla? Ja osobiście myślę, że czeka nas jeszcze wiele niespodzianek, jeśli chodzi o Herberta.

W swojej biografii, zwłaszcza pierwszym wydaniu, najmocniejszy akcent położyła pani na najwcześniejszy okres życia Herberta, m.in. na fakt przynależności do AK, który wyglądał inaczej, niż o tym mówił. Wciąż można zreszta

przeczytać w notach biograficznych, że we Lwowie nie tylko wstąpił do AK, ale też ukończył tajną szkołę podchorążych.

To było nie tyle jego kłamstwo, co wielka trauma i rana, którą odkryłam. Ale czy to też aż tak naganne? Wszyscy pisarze przecież ubarwiają i mitologizują swoje życiorysy, poza tym w przypadku Herberta to było coś innego. Panu Cogito przecież wypadło walczyć w AK, a w życiorysie Herberta tego nie było. Jednak to, że nie walczył, nie wynikało z tchórzostwa, a z ułomności fizycznej.

Którą też mitologizował, opowiadając, że sam wyjął sobie kulę z rannej nogi.

Prawda zaś była banalna: złamanie nogi na nartach w dzieciństwie, źle złożone, spowodowało, że całe życie leczył się i kulał, co wykluczało podchorążówkę. Była jeszcze druga kwestia, która zamykała mu drogę do AK, a mianowicie bolesna sprawa zdrady jego stryja Ludwika Herberta, który podpisał folkslistę, wydał młodych AK-owców, za co dostał wyrok Polski Podziemnej. To była głośna sprawa, o wyroku pisały gazety podziemne. I właściwie to zamykało młodemu Herbertowi drogę do AK, ponieważ tam się nie przychodziło z ulicy, trzeba było mieć wprowadzających, rekomendację. Ale to, że nie walczył, stało się jego ogromną traumą i - moim zdaniem - zaczęłam twórczości, którą spłacał dług. A przecież nie on jeden nie walczył: Mickiewicz nie walczył, Słowacki nie walczył i mamy

dzięki temu choćby „Dziady”. Miłosz zresztą też nie walczył, bo podświadomie wiedział, że się do tego nie nadaje, że jego rola jest inna. Poeci to wiedzą. Herbert nie walczył, ale dzięki temu został depozytariuszem sprawy tych, którzy zginęli. Ta sprawa stała się dla niego święta - stąd jego wiersze. „Komu ja gram?” pyta w „Prologu”, przywołując właśnie pokolenie Kolumbów: Baczynskiego, Gajcego, Trzebińskiego, swoich rówieśników. On ocalał, musiał więc nieść ich sprawę.

Brań w to jednak. Nie tylko nie sprostował nigdy swojego życiorysu, ale jeszcze dopisywał kolejne epizody.

Brań, bo chciał być z tymi, których podziwiał. Chciał być z nimi, a nie mógł. Spłacał ten dług do końca życia. Ale bardziej zawinił mi wszyscy, którzy chcieliśmy z niego zrobić bohatera, świętego poezji polskiej. A on się pewnie trochę w duchu śmiał, co lubił, a o czym nigdy nie pisało. Pewnie było mu też przyjemnie. Poza tym on zawsze mówił ogólnikami. Kiedy jednak zaczęłam sprawdzać, okazało się, że na temat jego przynależności do AK nie ma żadnych relacji, śladów. Co znamienne, nie wspominał nigdy, do jakich chodził szkół we Lwowie - a były to przecież słynne szkoły. Na spotkaniach, kiedy podchodziły do niego koleżanki z czasów szkolnych, unikał ich - wiedział przecież, że one wiedzą o nim za dużo.

O te wieczory autorskie właśnie lwowiaczy mieli żal. O to,

że nie chce się spotykać. Mówili, że od nich ucieka, nie popiera ich sprawy.

Autentycznie uciekał. Lwowiaczy mieli do niego wielki żal też o to, że pisał o wielu miastach, a o Lwowie nie. O to, że nie odwiedził miasta. Tłumaczono to oczywiście ogromną traumą. Irzeczywiście Lwów to była trauma, ale też ciemne źródło jego zaangażowanej poezji. Ale unikał ich jeszcze z innego powodu, mianowicie Herbertowie uciekli ze Lwowa wcześniej niż większość lwowiaków, jeszcze zanim weszli tam Sowieci, obawiając się zemsty za folkslistę wujów Romana i Ludwika Herbertów. Uciekli. Stąd także późniejsze kłopoty finansowe, nie mogli liczyć na odszkodowanie dla repatriantów. Większość znajomych z okresu lwowskiego to wiedziała, dlatego również ich unikał. Pytanie, dlaczego nikt przede mną tego nie zweryfikował?

Między Herbertem i bohaterem jego wierszy, Panem Cogito, stawia się często znak równości. Czy Herbert też tak o sobie myślał?

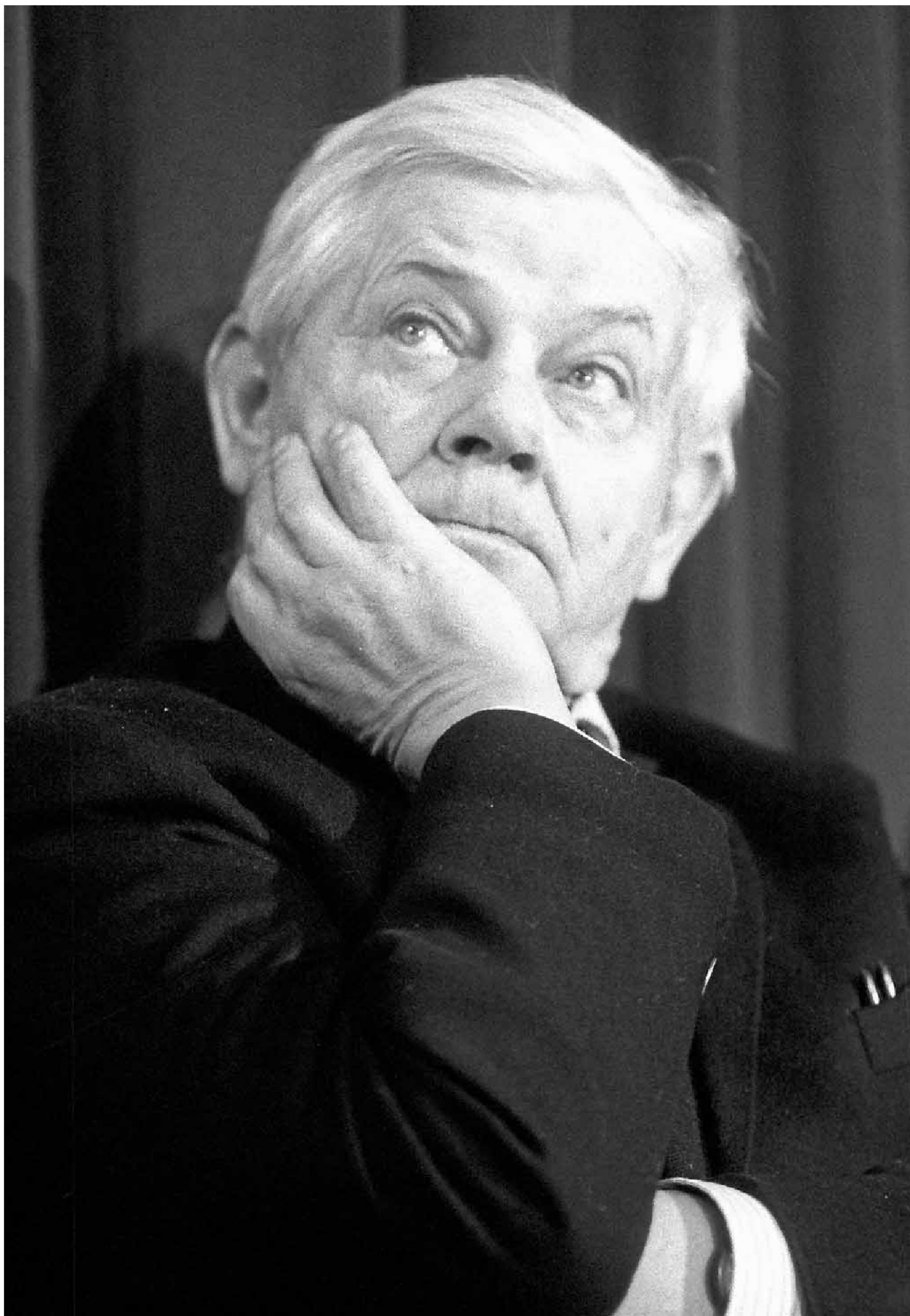
W pewnym sensie tak. Pan Cogito jest przecież jego kreacją poetycką, wyrażającą wartości, które sam wyznawał. Herbert stał na ich straży do końca, był nieustrasiony, był szczerzy, można powiedzieć do bólu, nie uprawiał gierki, co też przyczyniło się do tego, że nie zrobił międzynarodowej kariery. Można mu zarzucić, że nie gardził alkoholem, był kobieciarzem, zdradzał żonę, ale nawet w najgorszym okresie depresji - a miewał, jak wielu twórców, góry i doły - zawsze o nie walczył, tak samo jak walczył z potworem komunizmu, który przybierał różne formy. O to się kłócił z Miłoszem. Nie z zazdrości o sławę i tytuły, zazdrościł mu tylko zdrowia i siły.

O co więc poszło w tym konflikcie dwóch wielkich poetów?

O imponderabilia. Herbert miał zawsze pewne żale do Miłosza i to wszystko wybuchło w jednym momencie. Inaczej np. oceniali XX-lecie międzywojenne, AK, Powstanie Warszawskie. Herbertowi nie podobał się też „Zniewolony umysł” Miłosza, w którym, jego zdaniem, w gronie czwórki bohaterów, uwikłanych pisarzy: Andrzejewskiego, Borowskiego, Putramenta i Gałczyńskiego zabrakło piątego: Miłosza właśnie, który przecież początkowo akceptował system, był też dyplomata bierutowskiej Polski. Herbert także, jako jeden z niewielu, opowiedział się za lustracją - to oznaczało wówczas w środowisku właściwie śmierć cywilną. To nie był spór o poezję, różniło ich podejście do wielu obywatelskich spraw, choćby w kwestii Kuklińskiego czy Czeczenii, oraz zupełnie inne polityczne i życiowe postawy. Wówczas zresztą zaczęto niewygodne poglądy Herberta tłumaczyć jego chorobą psychiczną, alkoholizmem, a tymczasem on pił jak każdy wtedy - gdy był młody. Kiedy zdrowie mu przestało pozwalać, przestał. A był twórczy do końca życia. Na łożu śmierci wydaje tom „Epilog burzy”, w którym pękł ten gorset świętego, w który go wsadziliśmy: pisze o chorobie, o bólu, o osobistych sprawach.

Mówi pani: gorset, to znaczy, że go uwierał zarówno ten wizerunek, jak i oczekiwania z nim związane?

Literatura polska potrzebowała świętego i po tomiku „Pana Cogito” Herberta postawiono na cokół. Potwierdzeniem tej jego pozycji był „Raport z obłąkanego miasta”, kiedy w stanie wojennym opowiedział się za obroną pewnych wartości, przeciwko barbarzyńcom, o których wiadomo, kim byli. To wtedy właśnie młodzi, pokolenie Solidarności, które obalało komunizm, potrze-



Joanna Siedlecka: - Zbigniew Herbert nie był człowiekiem łatwym, to na pewno, był samotny, nie był w układach, wadził się z całym światem, mówił prawdę w oczy

bowali kogoś takiego jak on. Wówczas on już tym bardziej nie mógł się przyznać do tych swoich traum, więc na pewno nie było mu w tej roli łatwo, na pewno go ta rola uwierała. Oczywiście, to nie był wyłącznie ciężar, bo stał się autorytetem młodych, był popularny, kochany. Kiedy miał - częste wtedy - spotkania w kościołach, przychodziły tłumy

młodych, dla których był symbolem oporu, Panem Cogito walczącym z potworem komunizmu. Potrafił też nie zgodzić się z najsilniejszymi: z Miłozem, Giedroyciem, Michnikiem. Kto inny miał na to odwagę? Był noszony na rękach, to oczywiście, że to mu się podobało. Choć on sam też żartował sobie z tego, że pije, pali, ma stosunki pozamałżeńskie, co

z niego za autorytet? Ale tu znowu wracamy do Lwowa, bo ta jego postawa brała się głównie ze Lwowa. Dzielili Polaków na prawobrzeżnych i lewobrzeżnych. Ci lewobrzeżni nie zaznali nigdy sowieckiej okupacji, liczyli na komunizm z ludzką twarzą. Prawobrzeżni, jak on ze Lwowa, wiedzieli, co oznaczają Sowietci. Nie mogli mieć złudzeń co do tego, jak potoczą się losy Polski, bo

wiedzieli, co było we Lwowie: portycki, aresztowania, deportacje.

Uwielbiał podróże, często jeździł, ale nigdy nie zdecydował się na emigrację. Dlaczego?

On jeździł i zwiedzał, bo to kochał, bo chciał wyrwać się z szarego, zamkniętego PRL-u, ale zawsze wracał. Tam za-

łował, że nie ma go tu, a w Polsce miał dość Polski. Był rozdarty. Był taki czas, że zarzucano mu, że podróżuje, wiedzie beztrudne życie, jest daleko od polskiej rzeczywistości. Myślę, że został w Polsce także z bardzo prozaicznych względów: nie miał pieniędzy na to, by żyć tam. Początkowo był długo na Zachodzie, bo jako obywatelowi kraju zniewolonego, przysługowały mu rozmaite stypendia, dotacje, z których korzystał. Po 1989 roku te pieniądze szły na inne kraje. A poza tym miał starą matkę, siostrę, siostrzeńców, do których był bardzo przywiązany, co pokazuje korespondencja rodzinna. Inna sprawa, że miał już swoje lata, był schorowany, chciał gdzieś osiąść, mieć własne biurko, rozłożyć książki, które woził po świecie, przechowywał w rodzinie, znajomych. No i tu też był kochany.

Wracając do konfliktu z Miłozem. Pojednali się przecież, Miłoz wyciągnął rękę. A żegnając Herberta, mówił o nim jako wielkim poecie.

Telefon Miłozza był grzecznościowy. Miłoz był przecież kulturalny, wiedział, jak się zachować wobec odchodzącego człowieka, dlatego też pojawił się na pogrzebie. Ale później napisał wiersz, którym go znowu boleśnie zaatakował, pisząc o jego chorobie psychicznej. Co więcej, Miłoz wcale nie chciał dzwonić do Herberta, namówił go brat, wiedząc, że Herbert jest umierający. O tym, że się wcale z nim nie pogodził, świadczy to, że kiedy po śmierci Herberta wdowa prosiła go o parę słów posłowania do amerykańskiego wydania wierszy - odmówił. Czy można jedną rozmową telefoniczną unieważnić wieloletnie odmienne zdania, kłótnie i spory? Oni się pogodzić nie mogli, bo różniło ich zbyt wiele. Herberta ukształtował Lwów i jego patriotyczna, konserwatywna rodzina. Miłoz miał inne korzenie, inne przekonania. Zresztą, prawdę powiedziawszy, konserwatyzm Herberta miał też takie oblicze, jak jego patriarchalny stosunek do kobiet, do żony. Kobiety były mu potrzebne do opieki nad nim, wybitnym twórcą, choć tak naprawdę wolał niezależne, wolne, inteligentne. Marzył o takich, ale się z takimi nie wiązał, ponieważ potrzebował opiekunki i taką znalazł.

Uważa pani, że wyjawienie informacji, że Herbert miał się zmagać z chorobą psychiczną, to próba jego dyskredytacji?

Jak najbardziej. To pojawiło się po jego ostrym wywiadzie z Jackiem Trznadłem, kiedy oskarżył polskich twórców

o udział w budowaniu socjalizmu. Wtedy oburzone środowisko zaczęło mu zarzucać chorobę psychiczną, co jest oskarżeniem poważnym. A on tymczasem cierpiał na depresję, jak jego matka i jak wielu innych twórców. Zarzucanie mu choroby psychicznej, jak ma to miejsce choćby w książce Andrzeja Franaszka, kiedy nie ma świadectwa lekarza, uważam za nadużycie i stygmatyzowanie. Zresztą świadectwo jednego lekarza też nie mogłoby być dowodem. Herbert nie był człowiekiem łatwym - to na pewno, był samotny, nie był w układach, wadził się z całym światem, mówił prawdę w oczy. Za co też zapłacił, bo przecież gremia różnych nagród lubią ludzi układnych. Gdybyśmy kategorie normalności odnosili do twórców, to musielibyśmy uznać, że to sami wariaci. Bo czy normalny był Witkacy, van Gogh, czy Mozart? Herbert był człowiekiem tragicznym, superwrażliwym, samotnym, atakowanym. Człowiekiem, którego mało kto rozumiał.

Co zostało z tego mitu Herberta dziś?

Wszystko, wciąż jest żywym poetą! Może nie ma Nobla, ale ma uznanie czytelników, nadal jest czytany, odbywają się Herbertiady, na które przyjeżdża mnóstwo młodych ludzi. Jego poezja jest uniwersalna i ponadczasowa, nie jest dosłowna, a co za tym idzie, tłumaczona i czytana na świecie. „Raport z oblężonego miasta” jest o każdym oblężonym mieście. Dosłowna była, ale też świetna jak wszystko, czego się dotknął, publicystyka, którą uprawiał w tygodniku „Solidarność”. Niestety, nie został w dzienniku, ale możemy czytać jego znakomite listy, które pokazują go jako człowieka. Nie wszystkie jeszcze wyszły, bo piecza nad nimi ciągle jest trzymana.

Ma pani najważniejszy czy ulubiony wiersz Herberta?

Zostawił tyle wspaniałych wierszy... Nie jestem krytykiem literackim, więc nie muszę wybierać oryginalnych, mogę mówić o tych, po których mam ciarki na plecach. Najważniejszy dla mnie to genialny, chyba najsłynniejszy wiersz Herberta, „Przesłanie Pana Cogito”, nieprawdopodobnie poruszający, wiersz z kości słoniowej. Lubię też literacki „Jak nas wprowadzano” - o młodych literatach wprowadzanych do PRL-owskiej literatury, czy namiętne erotyki z cyklu „Podwójny oddech” ze zniszczonego tomiku, pisane do jego wielkiej miłości, pani Haliny Misiołek. To właśnie ta osoba stała nuta, którą „nasz święty” długo ukrywał. ©